№ 10.

Dziennik domowy.

Próżno się na polu wadzisz,
Jeśli doma nie uradzisz.
REJ Z NAGŁOWIC.

ROK 1840. Poznań, dnia 11. Marca.

DZIENNIK DOMOWY, poświęcony życiu domowemu, familijnemu i towarzyskiemu, wychodzi raz na tydzień, w objętości jednego arkusza, do którego przydaną jest rycina mód paryzkich, wraz z opisem. — Przedpłata wynosi na rok talarów 8, na pół roku talarów 4, i przyjmuje się po wszystkich królewskich urzędach pocztowych, tudzież księgarniach krajowych i zagranicznych.

MŁODY MĄŻ.

Komedyjka w 2ch aktach,
a raczéj
POWIEŚĆ W ROZMOWACH.

OSOBY.

Henryk } nowożeńcy.
Celina }
Ludwik.
Zofia.
Magdusia, pokojówka.
Józefek, służący.

(Miejsce sceny — dom wiejski u bram wielkiego miasta.)

AKT PIERWSZY.

Scena I.

Henryk i Celina.

(Teatr wystawia mile urządzone siedzenie w ogrodzie przed domem, drzewo wielkie, kwiaty, krzewy, ławki, stół kamienny. Po lewéj ręce dom o jedném piętrze z wystawką, w głębi domek maleńki ocieniony w kształcie altany. — Celina i Henryk siedzą pod drzewem; snadź wrócili dopiero co z przechadzki, bo kapelusze, parasolik, laska, leżą tu i owdzie — pili kawę i stoi na osobnym stoliczku cały porządek. Ubiory ich ranne, rozmowa poufała, Henryk pali cygaro. Celina haft w ręku trzyma, koszyk od roboty na ławce stoi.)

Henryk (siedząc koło żony). Jak też nam tu dobrze, Celino moja! Niewystawiałem sobie nigdy, żeby mi teraz tak gdzie dobrze było.

Celina. Prawda, że nam przedziwnie: mamy tu sobie mały raj ziemski; ale gdzieżby nam teraz źle być mogło było, byle razem?

Henryk. Śmiać mi się chce prawdziwie; bo kiedym ten domek najmował przed pobraniem się naszém i mówiłem, że całe lato tu chcę spędzić i ani zajrzeć do miasta, śmiali się ze mnie wszyscy i straszyli, że się znudzę.

Celina. Widać, niekochali nigdy prawdziwie.

Henryk (biorąc ją za rękę). Bo też to rzecz rzadka, moja droga Celino; i małżeństw takich, jak my, niewiele. Ręczę, że moi dawni przyjaciele, Wacław, Ludwik, Leon i inni aniby uwierzyli, że ja już od miesiąca żonaty siedzę na wsi bez gości; dopiero wczoraj pierwszy raz byłem na wieczór w stolicy, a to u ojca mojéj małżonki; a co więcéj, jeszczem żadnéj książki nieotworzył, lubo mi tak ślicznie urządziłaś gabinet do pracy.

Celina (po krótkiém milczeniu). Jednak kto wie, czyby ci niewypadało wracać pomału do dawnych zwyczajów... Tyś lubił naukę... lubiłeś towarzystwo.....

Henryk. A! już mnie pani od siebie wygania, jużem się jéj naprzykrzył.

Celina (patrząc mu w oczy). Henryku! czy szczerze to mówisz?

Henryk. Szczerze i nieszczerze. Bo z przykrością uważam, iż od dni kilku niejesteś mi tak oddana, tak cała moja, jak byłaś dotąd; zamykasz się w swoim pokoju, wynajdujesz mi jakieś zatrudnienia; oto i wczoraj, ty nie kto, wyprawiłaś mnie samego do miasta, a gdym wrócił, niewymówiłaś mi ani jedném słówkiem późnego powrotu; było przecież po północy. — Dziś znowu zapędzasz mnie do książek, namawiasz do ludzi.

Celina (z nieśmiałością). Bo wiem, że czy późniéj czy prędzéj ta zmiana w życiu twojém nastąpić musi; na świecie nie jak w romansach, niemożemy tak zawsze żyć we dwoje — niemożesz

zawsze próżnować. — Zapewne jesteś majętny, na chleb pracować niemasz potrzeby, ale przecież winieneś się towarzystwu, krajowi......

Henryk. Coś pani strasznie rozsądna i moralistka wielka.

Celina. To nie mój, ale jeszcze matki mojéj rozsądek. Ona nam zawsze mawiała: »Jak kiedy pójdziecie za mąż, moje córki, niewymagajcie od waszych mężów, aby wam jedynie byli oddani; zaraz z początku zwracajcie ich ku dawnym zatrudnieniom, ku dawnym przyjaciołom.«

Henryk. Więc to pani podług planu i systemu zemną postępuje? Niewiedziałem, że edukacya....

Celina. Jak ja nielubię tego pani i tych żarcików w ustach twoich, zaraz mi się zdaje, że się gniewasz.

Henryk. Niegniewam się wcale, tylko sobie myślę, że ani połowy niekochasz mnie tyle, co ja ciebie. Bodajem zginął, jeżeli od czasu, jakem cię zobaczył, pokochał, ożenił się z tobą, jeżelim pomyślał choć raz, jak być z tobą, co ci powiedzieć i co potém będzie; oto, jak jestem, tak jestem, co czuję, to mówię. Już ja taki: serce na dłoni, prawda w ustach....

Celina (z czułością). I takiego cię też pokochałam. Ale czy pamiętasz, jak nieraz i przed pobraniem się naszém i teraz mówiłeś mi: żeśmy się dobrali dla tego samego, że ja mam mniéj żywy, mniéj wylany charakter....

Henryk. Prawda, tak ja to mówiłem co do drugich, wcale nie co do siebie... Ale te kobiety to zawszeby rade mieć coś swego, coś niedostępnego; bez tajemnic ani rusz. Dla czego naprzykład zamykasz się w swoim pokoju i nawet na spacer lubisz od dni kilku iść sama?

Celina. Wszak wiesz kochanie moje, że ja daleko od świata, po domowemu wychowana, lubię więc czasami samotność i zatrudnienie; ale wierzaj mi Henryku, najlepiéj lubię być z tobą (patrzy na niego wdzięcznie i wspiera się na jego ramieniu).

Henryk (całując ją). O! jak miło słyszeć takie słowa; znowu moja, cała moja Celino! — (po chwili.) I wiesz podobno i jeśli prawda w tém, co mówisz o potrzebie, o obowiązku zatrudnienia się, trzeba to będzie przymusić się, otrząść się z tych roskoszy i wrócić do pracy, do dawnych związków... (Na twarzy Celiny radość się maluje.) Cięży mi nawet jedna obietnica. Wystaw sobie, jeszcze na kilka tygodni przed naszym ślubem, podjąłem się dla dawnego przyjaciela szkolnego jednéj roboty: zacząłem i nieskończyłem. Niewiem, czy i on się zakochał, czy się ożenił, bo coś nienagli o nią; a mówił mi wówczas, że mu koniecznie potrzebna... To dla wydawcy Tygodnika.....

Celina (rumieni się i miesza, a dla niepoznania szuka czegoś w koszyczku i mówi jakby od niechcenia:) Czy to dobry dziennik?

Henryk. Najlepszy ze wszystkich naszych. Są przecie rzeczy polskie, zdrowéj krytyki, pięknym stylem pisane. Osobliwie od roku podniósł się widocznie i zaszczyt czyni wydawcy. Mówią też, że on fortunę robi, i cieszy mnie to, bo walny i dobry chłopiec.

Celina (coraz bardziéj zmieszana, wstaje, a ocierając się chustką, mówi:) Jak gorąco!

Henryk. Co! gorąco? ja owszém znajduję dzisiejszy ranek wcale chłodny — (wpatrując się w nią) prawda, żeś nadzwyczaj rumiana. Może chodziliśmy zbyt długo po lasku i nadtoś kawy piła; spocznij trochę w swoim pokoju.

Celina. Dobrze — spróbuję — zmęczonam.

Henryk. A ja pójdę do mojéj altanki i spróbuję wziąć się do pracy, do owego artykułu, bo jak się zgłosi pan wydawca, to źle będzie (żegna się z Celiną). Bądź zdrowa; — ale doprawdy ręce masz gorące... (odchodząc patrzy na nią troskliwie).

Scena II.

Celina sama.

Jaka ja też dziecinna i nieoswojona, to rzecz niepojęta; to nieszczęśliwe rumienie (bierze się za twarz) jeszcze mnie kiedy wyda. Ale skąd mu przyszło o nim mówić, pierwszy raz w życiu; niewiedziałam, że go zna. Dobrze przynajmniéj, że mi się udało zapędzić go do zatrudnienia, będę wolniejszą, a dziś właśnie tak potrzebuję wolności. . . Spieszmy więc, spieszmy do tych drugich roskoszy moich... (wbiega do domu, przez ten czas Józefek wchodzi i sprząta po kawie).

Scena III.

Henryk (wychodząc z altany). Co! już jéj tu niema? a chciałem spytać jéj się. Najgorzéj pole zależeć i czas jakiś niepracować — niema nic pod ręką. I potém, kobiety dobre do wszystkiego, ale nie do książek i nie do papierów; niby porządkując wszystko przewrócą do góry nogami i do niczego trafić niemożna. (Słychać w domu prędkie stąpanie po schodach i zatrzaśnięcie drzwi na klucz.) O! już się zamknęła w swoim pokoju, a jak prędko biegła! zmęczenia nieznać! Oj! kobiety, kobiety! najszczerszéj z was odgadnąć niemożna, a najlepsza dokuczyć potrafi. Boć ona i szczera i dobra, jak niema w całym świecie; a jaka niewinna! — do nieuwierzenia

w tym wieku zepsutym! — Wszakto ona otwartością swoją najwięcéj mnie podbiła. Niezapomnę nigdy, kiedym się jéj oświadczył, jak natychmiast mi powiedziała: że może sądzę, iż posag mieć będzie, a tymczasem dom ich lubo na pozor dostatni, często jest w braku. Ojciec długi ma nawet, ona i siostry zupełnie będą ubogie. Wyznaję, żem się spodziewał kilkudziesiąt tysięcy, ale ta jéj otwartość, tyle szlachetna i tak z moim sposobem myślenia zgodna, za milion mi stanęła... Po takiém wyznaniu któżby nierachował na zupełne zaufanie? Przecież, już czasem przed ożenieniem zdawało mi się, że jest coś ukrytego.... Może też to było przywidzenie... jam podejrzliwy..... A dziś ten rumieniec, to zmieszanie..... (chwyta się za tył głowy) zaraz krew do głowy mi bije! Dalibóg! zmieniła się, jakem wspomniał Ludwika, mego szkolnego towarzysza; a jak sobie przypominam, to i dawniéj płonęła na jego wspomnienie..... Rzecz szczególna — czyżby oni dawniéj się kochali? Ale tyle mam dowodów zupełnéj nowości jéj serca, takiéj skromności prawdziwie dziewiczéj..... To dziecińtwo i przywidzenie..... Przeklęta skłonność do zazdrości; a jakże niebyć zazdrosnym, kiedy kto mocno kocha.....

Scena IV.

Henryk, Józefek, a późniéj Ludwik.

Józefek. Jakiś jegomość, przyjaciel pański jak mówi, chce widzieć się z panem. Jest w salonie.

Henryk. Prosić go tutaj. (Józefek odchodzi.) Już się i goście zwiedzać zaczynają, będzie Celina kontenta; jednak zbyt rano na gości (dobywa zegarek); dziesiąta godzina, zapewne ktoś z interesem.

Ludwik (wchodzi prędko i ściska Henryka). Witam, witam, szczęśliwy więźniu miłości, wzorze nowożeńców!

Henryk (zimno). Witam wzajemnie; — a to rzecz dziwna, właśnie myślałem o tobie.

Ludwik. A! to już przecie myślisz o czém inném, jak o żonie; w mieście cię ogadali, że tak żyjecie nierozdzielni, jak gołąbków para, że jegomość pod pantoflem ani się ruszy na krok od jéjmości dobrodziéjki.

Henryk. Przepraszam, wczoraj byłem w mieście; sam bawiłem do północy.

Ludwik. Widzisz, a niebyłeś u mnie! godziż się tak zapominać o przyjaciołach i o danéj obietnicy?

Henryk. O! wcale niezapomniałem.

Ludwik. Otoż, czy zapomniałeś, czy nie. Jam tu przyjechał na exekucyą; już dosyć tych samotnych roskoszy: daj artykuł i pokaż mi żonę. Musi to być niepospolita istota, kiedy pana mojego, takiego niedawno jeszcze motyla, stałym zrobiła.

Henryk (z niejaką niespokojnością). Czy nieznasz jéj wcale?

Ludwik. Owszém trochę — z daleka — z widzenia, lecz niedosyć; radbym więcéj. Ale zagadujesz żoną, a o artykule nic. Spodziewam się, że gotów. Wszak dosyć byłem cierpliwy i wyrozumiały. Póki miodowy miesiąc nieminął, anim tu zajrzał.

Henryk. Prawda, nawet sam dziwiłem się twojéj cierpliwości — mojéj téż robocie niewiele brakuje; materyały są bogate i nowe, i właśnie w téj chwili miałem ostatecznie rękę do niéj przyłożyć. Chcesz, to pójdź zemną do mego gabinetu, a najlepiéj osądzisz. (Wychodzą; Ludwik szepce coś krotofilnego Henrykowi, oba się śmieją.)

Scena V.

Celina (wbiega pomieszana i jeszcze ich idących do altanki widzi). Ach! ktoś przyjechał do męża. O Boże! tego mi jeszcze było potrzeba, tém trudniéj będzie znaleźć moję zgubę.... To szczególne i prawdziwe nieszczęście!... w chwili stanowczéj, kiedy ani momentu do stracenia niema. I jaka nie do darowania nieostrożność! Ani wiem, skąd mi przyszło, włożyć ten list za gorset?... Odczytać go jeszcze chciałam raz sama wśród drzew — tyle mnie kosztował.... I zgubić skarb taki!... Doprawdy, rozpacz mnie bierze (chodzi przez cały ten czas po teatrze i szuka koło ławek, koło drzew, koło siebie, okazując smutek i pomieszanie). Kto wie, czy dziś zrana niezgubiłam go w lasku, pobiedzby tam trzeba.

Scena VI.

Celina i Magdusia.

Magdusia. A pani czego tak szuka — czy pierścionek, czy śpilka złota zginęła? (Patrzy po ziemi.)

Celina. O, gdybyć! wolałabym niewiem jaki klejnot zgubić.

Magdusia. Cóż przecie? bo i jabym szukała, gdybym wiedziała czego. A wyborne mam oczy.

Celina. A niepowiesz nikomu?

Magdusia. Czyż ja to pleciuch?

Celina. A jak znajdziesz, to ani czytać będziesz, ani pokażesz nikomu, tylko mnie zaraz oddasz.

Magdusia. O imościulku! choćbym chciała czytać, to niepotrafię; jedno na Złotym Ołtarzyku

trochę bąkać umiem, pisanego ani by.... To tedy list zginął?...

Celina. Tak jest, list; ale otwarty i niepodpisany — gdybyś mi go znalazła, dam ci, co zechcesz (głaszcze ją po twarzy).

Magdusia. Śty Antoni Padewski przyczyń się za mną!

Celina. Pójdę, jeszcze wszystko przerzucę w moim pokoju. (Biegnie do domu.)

Scena VII.

Magdusia (szukając ciągle). Daj go katu! To jakiś ważny list być musi. Jeszczem jéj ani razu tak pomieszanéj niewidziała. Dalibóg! gdyby męża takiego niemiała, to Bóg wie, co myślećby można. Ależ jeszcze na amantów za rychło; któżby jednak ręczył za te miejskie damy. I Bogiem, a prawdą: jest tam jakieś licho w téj naszéj pani. Skryta i niemowna. Do jéj pokoju ani wejdź; na biórku ani rusz; kiedy się ubiera, to ani zagada do człowieka, jedno zawsze zamyślona. A do tego czasem i skłamie gładziusieńko, jak która z nas. Oto, niedaléj jak wczoraj, pan przyjechał dopiero o północy; — ona — bom widziała przez dziurkę od klucza — małoco przedtém się położyła; jak jéj się spytał, powiedziała: że już leży i śpi dawno. O! jak ja znajdę ten list, musisz się ty dobrze opłacić, kochaneczko, a jeszczem téż grosza od niéj niewidziała, ani na owinięcie palca nic niedostałam (szuka ciągle).

Scena VIII.

Magdusia, Ludwik, Henryk.

Ludwik (wychodząc z altany i trzymając papiery). Dziękuję ci nieskończenie przyjacielu, znakomity będzie artykuł: bardzo ma wiele rzeczy ciekawych i nowych. Najmniejsza zredagować; ja to sam zrobię, a przed drukiem przywiozę ci go.

Henryk. Niema potrzeby; ty nierównie gładziéj piszesz odemnie; ja tylko szperać umiem i pamięć mam. (Spostrzegając Magdusię.) Czy szukasz czego? (surowo) czy podsłuchujesz!?

Magdusia. Tak... nie... (Henryk patrzy na nią z gniewem.) A jużci szukam. Pani zgubiła... chustkę batystową. —

Henryk. Znajdziesz ją potém. Pójdź teraz prosić pani, żeby tu przyszła. (Magdusia odchodzi.)

Ludwik. Bardzo będę rad poznaniu bliższemu twojéj żony: naprzód jestem ciekawy owéj Syreny, która po tylu płochościach i niestałościach — pana mego usidliła.... powtóre.... przyznam ci się, żem poznał niedawno jéj siostrę Zofią i bardzo mi w oko wpadła. Mają szczęście te panny: widziałem ją kilka razy i coraz lepiéj mi się podoba. Nieśmiem zacząć bywać w domu ojca, bo zarazby ludzie gadali, a to rzecz taka nudna to gadanie przed czasem; wolałbym więc widywać ją czasami w twoim domu jakby z niechcenia. Chciałbym wreszcie przypatrzyć się i twojéj żonie, jéj obejściu się, jéj gospodarowaniu; zazwyczaj młodsze siostry w ślady starszéj idą..... Ja zaś tak myślę jak ty: kto trzeciego krzyżyka dobiega, kto panem jest swoim i ma kawałek uczciwy chleba, żenić się powinien. Rola motyla znudzi w końcu.

Henryk (który z początku słuchał niechętnie, a potém coraz miléj — mówi z uprzejmością ściskając Ludwika za rękę). Z całego serca. Bywaj u nas ile razy zechcesz, choćby codzień. Zofia często nas odwiedza, bo serdecznie się kochają z Celiną. I wierzaj mi: żeń się w tym domu, to cnotliwe, gospodarne, idealne co do niewinności dziewczęta. Gdybym ci opowiedział różne szczegóły, tobyś nigdy wierzyć niechciał. Tamta żywsza, weselsza, śmielsza od mojéj, ale jak dla ciebie, który masz więcéj zimnéj krwi, to możeby i lepiéj było.... Ale otoż i Celina. *(Dalszy ciąg nastąpi.)*

Domy i zatrudnienia Polaków w XV. i XVI. wieku.

(Ciąg dalszy.)

4. *Szlachecko-gospodarskie zatrudnienia w domu.*

a) Przyjemność wiejskich zatrudnień.

Szlachcic polski uważał gospodarstwo wiejskie za zatrudnienie ciała i duszy pożyteczne. Kto je raz polubił, nietrapiła go wydworność, ani pociągała ku sobie okazałość, dworaka żądze i wyniosłe przemysły dobrego imienia. Nietrapiły go nowiny straszne, zachodzące z różnych państw o wielkim krwi przelewie za mniemania religijne. Jego sen przerywany niebył żądliwą dworską zazdrością, ani źrzącą nienawiścią, ani go niezajmowało zamyśliwanie ku podejściu bliźniego. Żywot gospodarski wszystkie urazy (frasunki) w człowieku uspokajał, i owe troskliwe a niespokojne zabawy pańskie odpędzał. Utwierdzał ziemianin swój żywot postępowaniem według Pana Boga, a pieczołowaniem około gospodarstwa będąc zajęty, bez obrazy ludzkiéj pędził żywot najświętszy, i ze wszystkich najucieszniejszy. To dla niego było nieśmiertelną roskoszą i nad insze najpożądliwszą [1]).

[1]) **Dosłownie wyjęto z Pieniążka Ethica, str. 35.**

b) zatrudnienia i przychody wiejskie.

Wiejski gospodarz miał wszystkie swe zatrudnienia, rozłożone na pory roku, podług przemysłu, którym się trudnił, podług prac, którym się oddawał. Rachował on przeciąg czasu od mięsopust do Ś. Jana, odtąd do Ś. Marcina, odtąd do gód czyli do nowego roku. Po téj porze mięsopusty następowały, a z niemi zaczynał się nowy rok gospodarski [1]; w przeciągu tego czasu albo się trudnił ziemiańskim handlem, albo pracował w ogrodzie, albo rolę sprawował, budował stawy, hodował pszczoły i trzody owiec, albo z pola zbierał zboże, albo drób wypasał na sprzedaż do miasta: tymczasem gospodyni trudniła się przędziwem i nabiałem. Dochody więc z dóbr ziemskich stanowiło: zboże, bydło, wełna, konopie, lny, miody, skóry, łoje i nabiał wszelki, a pod miastami nawet chróst i trzcina [2]).

Cieszył się ziemianin, gdy przyszedł Święty Wit, i słowik był cyt: bo zbliżał się czas żniwa i nagrody za ciężkie znoje [3]). Zbiór z pola był mu prawdziwą zabawą. Przy żniwie rozlegały się po polach piosnki dziewek i okrzyki parobków. Gospodarz doglądając pracujących, niepróżnował, ale tymczasem gonił w pobliskości przepiórki, albo okoliczny (w około siebie) opasawszy fartuch, sam wiódł żeńce do pracy; albo przyglądał się, jak panienki len wybierały, jak z ogrodów rozpłodzone zbierały osiewki [4]). Czy orano, czy włóczono, czy zbierano rydze i insze grzybki, czy łowiono ptaszki, śpiew rozlegał się po polach [5]). Majętniejsi opatrywali (objeżdżali) folwarki, wchodząc w najdrobniejsze szczegóły. Doglądali i tego, czy każdy z nich w dostateczną liczbę drobiu jest opatrzony. Na wielkich folwarkach powinno się było znajdować: kokoszy kopa i gęsi starych kopa, coby się lęgły, oprócz gąsiorów [6]).

[1]) Rej, Żyw. 159. [2]) Rej, Żyw. 56., 109., 110. Pieniążek ethica 33. Górnicki, rozmowa str. 89. [3]) Olszewski w kazaniu *grono winne*. [4]) Światowa roskosz *uciecha*. [5]) Rej, Żyw. 56., 109., 110. Pieniążek ethica str. 33. [6]) Zawackiego pamięć robot w Listopadzie.

c) Ogród wiejski.

Prawdziwą roskoszą dla rządnego gospodarza był ogród wiejski, sadem zwykle nazywany [1]). W nim on sadził i przesadzał róże, rzadkwie, sałaty, rzeżuchę, maliny, ogurki, majeran, szalwią i inne ziółka. Siał włoskie grochy, szafran morawski od zagranicznego lepszy, i wysokie kopry. Sadzał pestki brzoskwiniowe, morelowe, marunkowe, szczepił włoskie orzechy [2]). Winne rozpładzał macice [3]), tudzież chrusty zielone, wydające kosmate jagody [4]); a panienki siały kwiecie, rozmaryn, lilią, majeran, lawendę, szpikanardę. Sadziły cyprys i mirt, który niedawno zjawił się w Polsce [5]). W tyle ogrodu był chłodnik przeplatany klonem gałęzistym, sadzony nad przezroczystym zdrojem, w którym wysokie dęby stały i mkła sośnina, a lukrecya dziko po gajach rosła [6]).

[1]) W broszurze *Latosie cielę*. [2]) Rej, Żyw. 107. Marcin z Urzęd. str. 106. [3]) Światowa roskosz *uciecha*. [4]) Agrest, Marcin z Urzęd. str. 392. [5]) Marcin z Urzęd. str. 56. [6]) Zbylitowski, Żywot. Marcin z Urzęd. str. 159.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Kilka listów z nad brzegów Renu.

Pisane do *T. M.* przez *S. W.*

(Ciąg dalszy.)

List piąty.

z Bad-Baden.

Już to spacerów, to nie brak w Baden. W jaką chcesz obróć się stronę, wszędzie wygodna droga, miła jedna i druga ścieszka, ławki, cień, krynica, nawet oberża i kawiarnia, że nie wspomnę muzyki, która jest wszędzie i przy wszystkiem. Ciągle też spotykasz mnóstwo osób, mężczyzn i dam, piechoto, pojazdami, konno, lub na osiołkach, bo tu nikt czasu nie traci. Aż miło jak się wszędzie, na prawo i na lewo, czujesz panem i panującą osobą! Cała okolica w twojem poddaństwie; wszędzie gdzie się zwrócisz, wcześnie dla ciebie już coś nagotowano, przyrządzono; wszędzie na ciebie czekano, bo jesteś gość, jesteś słaby, — tego swego tytułu pamiętaj nie zapomnieć, — jesteś cudzoziemiec, i przyjechałeś leczyć się, bawić się, próżnować, płacić. Oprócz spaceru koło sali i do Lichtenthal, co się nawet za spacer nie liczy, bo tam ciągle się żyje; nasamprzód chce się zobaczyć ruiny starego zamku. Sterczą ci prawie nad głową, masz je tuż pod ręką, dość prawie wyjść z domu i podejść trochę pod górę: a więc ruszasz do Alteschlos. Jużto co się tycze téj wielkiéj bliskości, to konie, wlekąc się kręconą drogą, dobrze się biedne zasapią; prawda i to, że cię to nic nie obchodzi, bo ty tymczasem używasz tak cudnego widoku, że się ani postrzeżesz jak godzina przeleci i już stanąłeś. Ruiny obronnego niegdyś i obszernego zamku. Mniejsza o jego historiję? Historya ta sama co wszędzie: — dowcip, praca, pycha, ucisk, wielkość, poddaństwo, wojna, sława, i inne nędze i mary, w końcu gruzy, mech, i dla okolicznych mieszkańców spacer na ruiny! — Główna tu

rzecz jest widok. Gdyby widok dawał się opisywać, i gdybym ja opisywać go umiał, miałbyś list do oprawienia w złote ramki, przepyszny, zachwycający! — ale nic z tego. Powiem ci tylko, że masz Ren jak na dłoni; wieżę Strasburską jak przed nosem; dolinę reńską jak na kolanach; Baden jak pod pachą; wiosek, wioseczek jak maku; a nad tém wszystkiém dwoje oczów twoich, jak dwa łakome, pożerające, nienasycone jastrzębie. Otóż spacer pierwszy. — Drugi, także wielkiéj piękności, jest do Eberstein-schloss, o dobrą naszą milę od miasta. Dwie tam idą drogi, jedna od drugiéj piękniejsza. Eberstein-schloss należy do książąt Badeńskich, którzy noszą także tytuł hrabiów Eberszteinskich. Jeźli ci szczęśliwi książęta nie wszyscy jeden w drugiego są wielcy poeci, wielcy malarze, wielcy muzycy, wielcy artyści, to chyba dla tego, że nie zawsze w Eberstein-schlos mieszkają. Jeźli w którymkolwiek z nich powstała kiedy jaka myśl pozioma, płaska, jakie uczucie niegodne, pospolite, to pewno nie na tém miejscu, nie w tém mieszkaniu, nie na cyplu téj góry wyniosłéj, pód któréj stopami lecą na przestrzał najcudowniejsze obrazy; nie nad tą mówię czarowną doliną Murgthalu, nie w obec téj natury wielkiéj, rozłożystéj, i w tysiączne piękności ubranéj. Spacer drugi! — Bo cóż ci mówić jak pokoje zamku umeblowane, jakie posadzki, sufity, stoły, krzesła, łożka, jacy tam nawet stoją rycerze w dawnych zbrojach? Jednego z nich, co jest zaraz przy progu sali, wysoki, potężny, chciałem wychodząc ścisnąć za żelazną rękawicę i prosić aby w te błogosławione ściany nie wpuszczał żadnego profana, coby nieczuł, niewidział w jakiém jest miejscu, a patrzał raczéj na to, co znajdzie w każdym pałacu, i co powinnoby tylko obchodzić jakiegoś murgrabiego, kamerdynera, lub pannę garderobianą. Są doprawdy ludzie mający osobliwszy talent widzieć, słyszeć, uważać, właśnie nie to co trzeba, i tym sposobem nigdzie być nieumieją. Pójdź z niemi na operę Mozarta, będą patrzeć kto siedzi obok w loży; pójdź do galeryi Luwru, ich uwaga zwróci się na liberyę lokajów dworskich, wprowadź ich do Eberstein-schloss, będą oglądać jaką materyą krzesła obite. Z jednym takim kamerdynerem, i z jedną taką garderobianą, — notabene byłto pewien lord angielski, z żoną, paryską elegantką, — i mnie zdarzyło się zwiedzać Ebersteinski zamek; szczęściem byłem już tam pierwéj w bardzo miłém i polskiém towarzystwie. — Trzeci spacer masz naprzykład do Jagdhaus, znów ku dolinie Reńskiéj. — Ależ nie myślę wyliczać wszystkich. Z Merkurberg ma być osobliwszéj piękności i niezmiernie rozległy widok; bardzo wierzę bo góra potężna, ale właśnie dla tego samego nie byłem na niéj, a dla tego że niebyłem, nie opisuję. — Między innemi miejscami bardzo mi się podobał Fremersberg. Był tam kiedyś dawny kościoł i klasztór, podobno Franciszkanów; ruiny dopiero w tych latach sprzątnięto, a teraz zrobił się ogród i spacer. Miejsce rozkoszne, na schyłku góry, nad zielonym parowem, w lesie, jedną stroną na obszerną otwiera się dolinę, po niéj przechadza się Ren, i żeby dłużéj tu bawić, nie idzie prosto, ale się to w lewo to w prawo powoli zawraca. — Jest jeszcze ładny jeden spacer, do kaskady. Kaskada sama nie osobliwa, ale miejsce w górach warte widzenia, i jedzie się ślicznym, kwitnącym krajem; — tylko prawda, jużem cię przestrzegł że o wszystkiém pisać nie myślę. Przyjedź sam, to zobaczysz; przyjedź, to się może zobaczymy. Ciekawy ja jestem, zkąd ta wasza taka niełaska na Baden. Jeździcie do wszystkich wód świata, do Ems, do Akwisgranu, które są daléj, a do Baden nie. Już to urzędową, nadworną Polaków wodą jest Karlsbad; na Karlsbad wszyscy chorują starym jeszcze obyczajem. Kiedy już macie koniecznie chorować, a niechcecie na Busk, na Krzeszowice, na Gwoździków, toż przynajmniéj chorujcie na Baden, żeby was choć łatwiéj zobaczyć. Szczęściem, nie jestem tu przecież sam. Donosząc o spacerach, powiem o dwóch moich najczęstszych, i najbliższych, bo w mieście, — jeden zur goldenen Traube, drugi zur Stadt Strasbourg. Mieszkają tam Polki, dobre, szanowne, kochane. Te przecież, na wielką moją pociechę, raczyły zachorować trochę na Baden. Prawda że to nie na długo; cóż, kiedy stan ich zdrowia jest taki, że jedna musi koniecznie do Włoch, do Neapolu, do Florencyi, nie wiem jeszcze gdzie będzie lepsza opera; druga . . . ale co ja najlepszego robię! jakby się przypadkiem dowiedziały; — niegodziwy ze mnie niewdzięcznik!

(Dalszy ciąg nastąpi.)

O moralności dla kobiet.

Przez K. z T. H.

III.

O znajomości saméj siebie.

(Ciąg dalszy.)

Zostawmyż mężczyznom ową zupełną i rzetelną samych siebie znajomość, jeżeli takowa jest w mocy człowieka. Dla nich owo rozpamiętywanie, owa

raz pochlebna, raz zasmucająca wiadomość, nic niebezpiecznego niema, gdyż męzki umysł jest dzielniejszy; ale my niezapuszczajmy się tak daleko. — Zresztą, pocóżby kobiecie znać tak dokładnie siły moralne swoje. Prawie żadna z nas nieukłada sobie ani przeznaczenia, ani obowiązków; przyjmujemy z kolei te, które nam odwieczny porządek rzeczy, i okoliczności podają. Rodzice mnogich dziatek mówią zwykle o synach: »Ten byłby dobrym żołnierzem, ów prawnikiem, ten trzeci gospodarzem;« córkom bez wyjątku jednego życzą losu, osobliwie teraz kiedy klasztory wyszły ze zwyczaju. Mężczyźni przeto, przed którymi tyle jest otwartych powołań, którży po większéj części sami sobie stan obierają, karryerę znaczą, mężczyźni potrzebują koniecznie znać ile można najlepiéj złą i dobrą stronę swoję, mieć jakby w ręku spis moralnych sił swoich, ażeby wiedzieli na co porwać im się wolno, co wykonać potrafią. Kto ciężar jaki dobrowolnie bierze, ten powinien umieć zastosować go do własnych sił; ale komu nakładają na ramiona, ten niech najwięcéj myśli o dźwiganiu. Kto w wielką podróż się puszcza, niech wie jakie ma zapasy; ale podróż życia kobiety możnaby niemal jednodniową nazwać; gdyż dzień każdy, prawie tegoż samego od niéj wymaga, a rodzaj jej powinności i obowiązków zwykł być takim, że je obejmować wiele daléj nad dzień obecny niema koniecznéj potrzeby. »Mężczyznom powierzył Stworca ogół życia, kobiecie szczegóły« ogół objąć można, szczegołów obliczyć niepodobna, i dla nas to jakby wyłącznie, Boski mistrz wyrzekł te słowa: »Nietroszczcie się o jutro, dosyć ci ma dzień na swoim trudzie.« *)

Sądzę zatém, że dla nas wiadomość czyli teorya znajomości samych siebie na dwóch warunkach zasadzić się może; pierwszym jest znajomość ogólna charakteru kobiet, drugim poznanie górujących dobrych i złych skłonności właściwych każdéj z nas. Powiedziawszy już wiele o pierwszym, nad drugim zastanówmy się chwilę.

Wiemy aż nadto, że człowiek zarówno z światem całym jest pod wpływem dwóch sił, które od początku napełniają go i jakby wyrywają sobie. Każdy przeto z ludzi ma w duchu swoim, dobre i złe skłonności. Od powolności dla dobrych i pilnego rozwijania ich w sobie, od pokonania i wytępienia złych, moralność i szczęście nasze zależą. Każdy przeto znać powinien przynajmniéj główne swoje skłonności, to jest wiedzieć, gdzie w duszy jego, łatwiejszy jest przystęp dla dobrego, a gdzie silniejszéj trzeba obrony przeciw złemu. Tego poznania używać jest obowiązany ku lepszéj znajomości powinności swoich i ku dokładniejszemu ich wypełnieniu. Bo skoro uznamy w sobie jaką dobrą skłonność, uznajemy oraz konieczny obowiązek wykonania dobrego, do którego ta zbawienna skłonność nas wiedzie. »Nie zaniedbaj łaski, która jest w tobie« mówi pismo święte*) a każda dobra skłonność w nas wrodzona rzetelną jest łaską Boga. — Podobnież, tylko odwrótnym sposobem obchodzić się trzeba ze złemi skłonnościami naszemi; ile się zachęca i rozwija tamte, tyle te gnębić i wytępiać należy; nie zrażać się choć się nie zawsze powiedzie, choć wytępiona na pozór znowu wróci.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

*) Mat. VI., 34.

Pieśń gminna.

Czegoś, brzozo, nad strumieniem
Zasmuciła twe kędziory?
Czy wiatr może ostrym tchnieniem
Ponadpsówał twoje kory?

Czyli może twoje soki
Stary, siwy, mróz powarzył?
Czyli strumień téj opoki
Z ziemi korzeń twój obnażył?

Bo bywało, temi laty,
Nie tak, smutnąś brzozo, była;
Gdym pod tobą wianek wiła,
A nad brzegiem rwała kwiaty.....

»Siostro Olgo! — brzoza powie
Ni mróz stary, ni mróz siwy
Zwarzył zimą moje zdrowie;
Ani potok natarczywy
Obmył wiosną me korzenie;
Białą korę, liść zielony
Nie zwarzyło wiatrów tchnienie:
Lecz z dalekiéj, wschodniéj strony
Najechali tu Tatary!
W koło stóp mych stłukli wrzosy,
Oberwali me konary,
I palili wielkie stosy!
A gdzie oni ogień kładą,
Nigdy darń tam nie zieleni;
A gdzie oni polem jadą,
Stanie czarne, jak w jesieni.
Gdzie ich konie potok zbrudzą,
Pić z téj wody już nie łechce!
Gdzie ich strzały raz ugodzą,
Wiecznie ból tam ustać niechce.....
A za niemi kara Boża
Wschodzi, jak za klątwą szkoda;
Liche wiatry dmą od morza,
Gadzinami pełznie woda;

*) Do Tym. XIV., 4.

Wschodzi mór, co ludzi zmiata,
I szarańcza, co kraj głodzi, —
Żal, że słońce to dla świata
Z tamtéj strony także wschodzi! —«

P.

Konik drewniany.

Buja Jaś na koniku, choć z miejsca nie rusza.
My się śmiejem, mówimy: dziecinna w nim dusza.
Czy się śmiać? — Jaś pouczon będzie mężem z czasem,
Lecz my na naszych szałach, aż do grobu Jasiem.

43.

ROZMAITOŚCI.

W archiwum miasta Nantes odkryto niedawno akta processu wytoczonego naprzeciw znanéj powszechnie niebieskiéj brodzie (Marszałkowi Raiz) i wyjątki z nich ogłoszono. W dowodach tych sądowych znajdują się okropności i zbrodnie opisane, którym trudno nawet uwierzyć.

Dowcipne porównanie. — Pewien nauczyciel szkoły publicznéj zwykł między godzinami, kwadrans przeznaczać na rozrywkę. Uczniowie korzystając z tego czasu, zabawiali się żartami i rozmowami; tymczasem nauczyciel przechadzał się po szkole. Raz podczas takiego przestanku słyszy nauczyciel wielki śmiech uczniów, zbliża się do nich i pyta o przyczynę. — Otóż ćwiczyli się w porównaniach, a za przedmiot obrali Napoleona. Wielu porównywało go z olbrzymami historyi naturalnéj, a maleńki siedmioletni chłopczyna porównał go z małą pszczółką, i stąd krzyk i śmiech wielki. Samego to nauczyciela uderzyło i zapytał chłopca, coby też Napoleon miał wspólnego z pszczołą? Oto pszczółka tak jak on, ze wszystkiego wysysa co najlepsze, odpowiedział chłopczyna.

MODY. — Paryż, dnia 27. Lutego 1840. W tym tygodniu pokazały się na kilku balach suknie organtynowe, wełną, kaszemirem i złotem haftowane. Bardzo pięknie i świeżo wyglądają i są stósowne dla młodych Dam, skoro złoty haft się wypuści. Między innemi widzieliśmy suknią-tunikę z organtyny z zaokrąglonemi rogami, spodnia suknia także z organtyny. Na około tuniki znajdowała się szeroka obwódka organtynowa, w miejsce oszeweczku, nad nią piękne złote bramowanie. Grecki stanik i obszerne rękawy pagodowe, były złotem bramowane, równie jak podwójna obwódka organtynowa na około sukni spodniéj, aby wszystko odpowiadało tunice. Złota przepaska w kształt sznura, dopełniała gustownego tego ubioru.

Napatrzyć się można było wielu stroikom na głowę, z aksamitu i koronek.

Sznury i bramowania tak weszły w modę, iż i one szczebla doszły wykwintności.

Prawdziwe ozdoby nigdy niebyły piękniéj i zarazem oszczędniéj używane, jak teraz. Są pojedyńcze, a zarazem gustowne. Korale najwięcéj się ukazują.

Bardzo się także podobała suknia z różowego aksamitu niestrzyżonego (vélours épinglé), oszyta z przodu trzema szerokiemi falbanami z koronek alençońskich, ułożonych w półkola i kończących się z każdéj strony w bukiet róż. Od niego wznosiły się róże w krój fartuszka aż do stanika; koronka zaś we festony upięta, wiła się około nich. Bertki i pagody z alençońskich koronek uzupełniały ten stroj gustowny.

Za cały stroik na głowę u wielu znajdowała się biała róża, przypięta do włosów szpilką, kokardką, rószczką, motylkiem lub inną dyamentową ozdobą.

Rękawiczki zwykle marabutami i koronkami zdobne tak krótko noszą, iż zaledwie za dłoń sięgają; tym sposobem widać bransoletki z grubych złotych łańcuszków złożone, które teraz w wielkiém są używaniu.

Nic jednak nie masz piękniejszego nad turbany kaszemirowe, złotem bramowane, toczki aksamitne z długiemi barbkami ze złotych koronek i półturbany tureckie.

Objaśnienie ryciny.

1. Turban aksamitny złotem bramowany, na boku kutasy zwieszone. Suknia krepowa zdobna wstążkami opadającemi na dół, u końców frędzle.
2. Turban z dwukolorowego atłasu zdobny frędzlą srebrną. Suknia krepowa przerabiana złotem, spodnia suknia atłasowa.
3. Toczek aksamitny zdobny perłami, piórami i kwiateczkami. Suknia krepowa w łuki na guziczki atłasowe upinana; spodnia suknia atłasowa. Stanik w dwa rzędy koronek, w kształt chusteczki oszytych. Krótkie rękawki o dwóch bufkach, koronkami osadzone.
4. Kapelusz z piórami. Paletot atłasowe z rękawami, ściąganym stanem i kapturkiem gronostajami osadzonym.

Redaktor: *N. Kamieński.* Czcionkami *W. Deckera i Spółki.*



L. Brückner sc.

10.